

Państwo leje wodę. Uwagi o suszy

2 czerwca 2020

Rząd zapowiada wielki projekt budowy niemal 1500 zbiorników retencyjnych. Ma to być remedium na wielki kryzys suszy w Polsce. Kryzys, który właśnie się przebija do świadomości, a który trwa już od dawna i ma wiele przyczyn. Jednocześnie kraj oplata sieć rowów melioracyjnych, trwa wieloletnia już masowa wycinka drzew w miastach, nabierają rozpędu „prace utrzymaniowe” rzek, polegające na zamianie ich koryt w rynny. Najcenniejsze lasy w kraju wycina się i unika ich ochrony. Spalanie węgla w deklaracjach premiera i prezydenta jest zadaniem priorytetowym. W oderwaniu od siebie te zjawiska mogą uwierać, niepokoić, wzbudzają podrygi „ekologistów”. Jednak kiedy spojrzy się na nie jako na długotrwałe, planowy, systemowy proces, dopiero wówczas ogarnia przerażenie. Tym bardziej, że mamy kolejny najcieplejszy rok w historii i największą suszę w dziejach. Już rok temu w niektórych miastach reglamentowano wodę.

Rzeka Ina przed regulacją i po regulacji

Postanowiłem zbadać sprawę. Wybrałem najprostszą metodę badawczą, dostępną każdemu. Poczekalem, aż po tygodniu braku opadów deszcz będzie lał dzień i noc. Udało się. Następnego dnia wziąłem szpadel i wbiłem go w ziemię. Woda przedostała się na głębokość około 2 cm. Dalej była susza. Później poszedłem do lasu nad strumień, który znam od 30 lat. Zostałem suche koryto. Pobliskie torfowisko, dawniej niedostępne w maju suchą nogą, trzeszczało pod stopami. Zalewowa łąka w dolinie rzecznej, pełna dawniej rycyków, czajek i krwawodziobów – była pusta, cicha i sucha.

W dalszej części tekstu opowiem o tym, co widzę od lat, pracując jako przyrodnik i obserwator przyrody.

Hydrofobia

Wszelkie działania mające na celu maksymalnie szybkie odprowadzenie wody ze środowiska są skrajnie nieodpowiedzialne i niszczące. Przekonanie, że woda musi jak najszybciej opuścić środowisko i w najlepszym razie wylądować w zbiorniku retencyjnym, a potem znowu jak najszybciej w morzu, to jakaś trudna do zrozumienia hydrofobia. Ten cel jest realizowany na kilka sposobów. Przede wszystkim to osuszanie wszelkich mokradeł, dużych i najmniejszych. To, co wydaje mi się najbardziej destrukcyjne, to deforestacja (wylesienie) w górnych odcinkach cieków. Na przykład w związku z budową instalacji narciarskich z całym niezbędnym systemem naśnieżania, do którego przecież konieczna jest woda. Również w związku z gospodarką leśną czy realizacją innych inwestycji, np. hotelarskich. Wylesione stoki gór stanowiące obszary zasilania naszych rzek i zamiana koryt strumieni górskich w rynny służące do jak najszybszego odprowadzenia wody, często przez betonowe obudowy, to początek katastrofy.

Drugie ważne, skrajnie negatywne zjawisko to wycinki prowadzone wzdłuż naturalnych cieków wodnych i osuszanie leśnych mokradeł. Trzecim są oczywiście „prace utrzymaniowe na rzekach”, prowadzone przez Wody Polskie. Usuwanie z koryt nawet niewielkich cieków martwego drewna, wycinka olsów i łągów na ich brzegach, odmulanie, likwidacja tam i żeremi bobrowych. To dzieje się na masową skalę w całym kraju. Przyśpieszanie spływu wody pociąga lawinę negatywnych, destrukcyjnych konsekwencji. Woda szybko opuszcza środowisko, nie stagnuje, nie retencjonuje w bagnach, terasie zalewowej, na łące, w starorzeczach, a więc też nie ma czasu na przenikanie do gruntu, do warstw wodonośnych. Te cenne miejsca bez rozlewającej się poza koryto wody szybko się degenerują. Znikają ważne siedliska higrofilne z wieloma gatunkami. Tracimy cały system powiązań pomiędzy naturalnymi procesami i uzależnionymi od tych procesów gatunkami. Łyse brzegi pozbawione olsów to radykalnie większe nasłonecznienie i

podgrzanie wody w cieku. Wyższa temperatura wpływa na właściwości fizyczne i chemiczne wody, a to na skład gatunkowy. Wyższa temperatura to szybsze parowanie. Woda znika. Opuszcza bezpowrotnie dolinę rzeki czy cieku, bo właściwie nie ma już doliny w dawnym rozumieniu. Jest rynna. W zasadzie od źródeł do ujścia rzeki traktowane są skrajnie brutalnie. Niszczy się systemowo ich pierwotne funkcje i właściwości, co pociąga za sobą szereg negatywnych zjawisk, a te kolejne i kolejne. System hydrologiczny się rozpada, woda znika. Zostaje system hydrofobiczny.

Kolejne dwa zjawiska znam ze świętokrzyskiego i nie wiem, jak to wygląda gdzie indziej. Przede wszystkim to województwo jest bardzo bogate geologicznie, wiąże się z eksploatacją górnictwem złóż. Mamy tu wiele kamieniołomów. Ich istnienie związane jest często z głębokimi odwodnieniami, a więc z powstaniem leja depresyjnego. Na skutek eksploatacji złóż wody podziemne są wypompowywane i wylewane do cieków. W przypadku dużych kopalń lej może mieć całkiem duży zasięg, np. kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu kilometrów. Z całego tego obszaru woda znika w sposób niezauważalny i mało spektakularny. Po prostu z czasem wszystko wokół stepowieje. W województwie jest około 130 kamieniołomów (dane z 2012 roku). Roboczo przyjmijmy, że lej ma powierzchnię około 20 km kw., co jest raczej wartością zaniżoną. Czyli mamy około 2600 km kw. stale poddawanych odwodnieniu, zwykle wieloletniemu. Lej wpływa też na naturalne ciek i zbiorniki wodne, mokradła. Powierzchnia województwa świętokrzyskiego to niecałe 12 000 km kw. Brzmi to dość przerażająco. Ale świętokrzyskie należy do regionów najbardziej narażonych na głęboką suszę i właściwie klęskę hydrologiczną. W dodatku woda pochodząca z odwodnienia kamieniołomów jest wpompowywana pod ciśnieniem do naturalnych cieków. Zmienia to tempo przepływu wody, zmienia warunki fizyczne i chemiczne wody, zmienia naturalny skład gatunkowy cieków. Problem lejów depresyjnych dotyczy też kopalń węgla oraz miast. Średniej wielkości miasto polskie tworzy lej o powierzchni mniej więcej 2 000 km kw.

Ostatni problem, który spotykam na dużą skalę w świętokrzyskim, to zasypywanie gruzem prywatnych działek w terasie zalewowej cieków, nawet niewielkich, a z czasem przekształcanie ich w działki budowlane. Gminy chętnie na to przysmykają oko, bo przecież działka budowlana to już perspektywa pieniędzy, a taka terasa zalewowa? Nic nie daje gminie. No może poza tym, że gromadzi bezpłatnie wodę.

Jest jeszcze kwestia zużycia wody przez przemysł i energetykę oraz problem gęstej sieci dróg wyposażonych w system rowów melioracyjnych. W skali kraju to są gigantyczne problemy. Jako przyrodnik spotykam się z tymi właśnie problemami i jestem przekonany, że destrukcyjne skutki ich wszystkich nakładają się na siebie, co powoduje powstanie sprzężenia zwrotnego. Patrząc na to wszystko można chyba powiedzieć, że naruszamy same podstawy funkcjonowania środowiska, niszcząc system hydrologiczny poprzez ingerencję w lasy ze źródliskami i leśnymi mokradłami, naruszając system wód podziemnych oraz czyniąc ze złożonej sieci cieków i mokradeł wzdłuż nich system rynien do spuszczenia wody jak za pociągnięciem spłuczki. Absurdalna walka z substancją, od której zależy nasze istnienie i istnienie wszystkich innych organizmów. Bardzo dużo energii i środków angażujemy w tę walkę.

Należy jeszcze wspomnieć o powszechnej likwidacji w rolnictwie wielkoobszarowym istniejących śródpolnych zbiorników wodnych oraz remiz śródpolnych. Pola mają być równe i łatwo dostępne dla maszyn. Tyle że spływ powierzchniowy z takich typów pól, bez miedz i lokalnych oczek wodnych, jest także błyskawiczny. Podobnie brak już wśród rolników kultury posiadania stawów koło domu lub małych zbiorników na ciekach, przeważnie zarybionych. Kiedyś było to powszechne, teraz to absolutna rzadkość, chociaż w dolinach jeszcze widać ślady zastawek. Na początku lat 90. XX wieku w Technikum Leśnym leśnicy nauczyli mnie, że zachowanie remiz śródpolnych i miedz w dawnym typie ma ogromne znaczenie, bo te zadrzewienia i siedliska chwastów pełną funkcję rezystencjalną wobec upraw, są oazami

bioróżnorodności wśród morza skrajnie uproszczonych zbiorowisk, zapobiegają erozji gleb i... zatrzymują wodę w środowisku. Likwidowanie remiz śródpolnych ma chyba te same podstawy, co w przypadku potrzeby niszczenia naturalnych mokradeł i starych lasów. To bieda i potrzeba kontroli. Tak sądzę. Oraz niezrozumiałe przekonanie, że jak jest wyrównane, z kostką Bauma, od linijki, bez chaszczy, to świadczy o większej rozumności, bogactwie, o jakiejś porządności większej. O cywilizowaniu.

Minister otwiera front

Minister Marek Gróbarczyk zapowiedział plan budowy zbiorników retencyjnych. Jednocześnie wspomniany plan walki z suszą uznaje takie zbiorniki za ostateczne rozwiązanie. Plan ma być wprowadzony odpowiednią specustawą.

Zarządzanie specustawami stało się już stylem obecnej władzy. Tyle że tworzenie specustaw w rzeczywistości wyjętych spod prawa wpisuje się w logikę budowania systemu niedemokratycznego. Przecież zadania w ten sposób realizowane wyjęte są choćby spod procedury partycypacji obywatelskiej. Obywatele przestają mieć głos. To polityka nakazowa, centralistyczna i realizowana podobnie jak za pomocą słynnych 5-latek. Wtedy zresztą osuszanie bagien i torfowisk było kwestią społeczno-polityczną, robioną z całą pompą, łopocącymi sztandarami, przemówieniami lokalnych notabli. To jest sposób zarządzania krajem w głębokim kryzysie, np. wojennym. Budowa niemal 1500 zbiorników retencyjnych bez uwzględnienia procedury ocen oddziaływania na środowisko i bez kontroli społecznej to gotowy przepis na katastrofę ekologiczną, hydrologiczną, ekonomiczną i społeczną. To ma cechy chińskiej Rewolucji Kulturalnej. To grozi dobicciem naturalnego systemu hydrologicznego. Bo system nadal będzie. Tyle że nowy. Postawiony za ciężkie pieniądze bez jakiejkolwiek kontroli i oceny. Można się domyślać, że jak zwykle zbiorniki zaporowe powstaną w miejscach naturalnego stagnowania wód. Na łąkach,

torfowiskach, w miejscach po olsach i łęgach, które się wytnie. To jest, delikatnie mówiąc, wylewanie dziecka z kąpielą.

Istniejące naturalne ciek i mokradła to unikalny, naturalny system, który powstawał w zgodzie z warunkami geologicznymi, czyli opierał się o sam fundament życia tej planety. Rzeki tysiącleciami „układały” się do podłoża geologicznego. Tak optymalnie wpasowane wiły się, zmieniając z wiekami swój bieg, kształtując rzeźbę terenu, tworząc higrofilne siedliska: łąki, torfowiska, zakola, starorzecza, torfowiska, lasy nadrzeczne, łąki trzęślicowe i inne. Ten samopowstały system działa tak, żeby woda była w środowisku w sposób niezbędny do życia. Także ludzkiego. To był i jest, bo on trwa, proces całkowicie darmowy, a jednocześnie bezcenny. Przekształcenie rzek w rynny, a mokradeł w miednice czy balie doprowadzi szybko do bardzo głębokich i śmiertelnie niebezpiecznych zniszczeń. No ale rozumiem, że skoro mamy rząd stosujący metody polityki wojennej, to i ofiary muszą być.

Prawdopodobnie przy obecnej skali presji ludzi na środowisko jest czasami konieczne zbudowanie zbiornika retencyjnego. Zresztą niektóre przez lata zaczęły przypominać obiekty naturalne i są ostojami bioróżnorodności. Jednak systemowe, szybkie, ponadprawnie robione ingerencje w układ wód w całym kraju skończy się raczej źle. Te pieniądze powinny być użyte do odbudowy względnie naturalnego systemu wodnego. I powinno to się odbyć przy udziale szerokiego grona ekspertów. Tyle że teraz miejsce ekspertów zajęli politycy.

Mamy funkcjonujący od ostatniego zlodowacenia system, który się sprawdził. To my zniszczyliśmy ten system i on się boryka z ogromnymi trudnościami. Gdyby mu odpuścić, zmniejszyć presję, zostawić przestrzeń i czas, może nieco pomóc renaturyzując niektóre zniszczone rzeki, to by prawdopodobnie „wstał”. Mówienie, że musimy osuszyć mokradła i wyprostować rzeki, bo zniszczony przez nas system nie działa – to absurd. Ta ogromna energia powinna iść w prace związane z ochroną i

odbudową istniejących i zniszczonych mokradeł. Zbiorniki retencyjne nie muszą, a nawet nie powinny być ogromne i tylko na rzekach głównych. Naturalna retencja powierzchniowa na małą skalę, np. w mokradłach i bagnach powoduje zwiększenie retencji podziemnej, a to jest główne źródło wody pitnej.

Bieda

Cała ta potrzeba wyżywania naturalnych lasów, spuszczenia wody i wydłubywania węgla wynika z biedy. Jesteśmy biednym krajem i biednym społeczeństwem. W odniesieniu do krajów tzw. rozwiniętych, do których aspirujemy. Mamy niemal tylko XIX-wieczne metody na rozwój. Eksploatację surowców naturalnych. Do pewnego momentu nie wymagają one nakładów. Las rośnie, węgiel leży, woda płynie. Tylko brać i sprzedawać. Polacy niszczą swój kraj, bo są biedni, a chcą być bogaci jak Niemcy. Tylko że my wyprzedajemy drewno, bo jest je łatwiej wyprodukować niż zaawansowane technologie jak perowskity czy światłowodowy – dwa rewolucyjne wynalazki polskie, z których Polska nie potrafiła skorzystać, żeby stać się siłaczem.

No więc drewno sprzedajemy, żeby mieć za co kupować technologie, węgiel palimy, żeby była energia do podtrzymania tego kosztownego XIX-wiecznego systemu, a woda musi szybko płynąć, żeby chłodzić te węglowe elektrownie. I dlatego nikt nie chce puszczać, bagien i mokradeł. Bo są nienowoczesne i niezachodnie, lecz wschodnie. A Polacy chcą być zachodni. Niestety stosując daleko-wschodnie metody. Paradoks polega też na tym, że te tzw. metody zachodnie dotyczą działań, od których już dawno tam odstąpiono. Teraz na Zachodzie przywraca się „dzikość” przyrody różnymi kosztownymi metodami.

Podam przykład. Zmagałem się kiedyś z procederem zasypywania działek w terasie zalewowej rzek. Właściciel postanowił zasypać gruzem nadrzeczne zalewowe łąki. Gmina na to przymknęła oko. Mnie grożono. Następnie działki zostały przekształcone w działki budowlane. I stało się to, co się

musiało stać. Zabudowane działki zaczęły być zalewane, bo... na innym odcinku rzeki wykonano prace utrzymaniowe, co spowodowało gwałtowne przyspieszenie spływu wód, a że nie miały one swoich starych łąk do rozlewania się, to się rozlały temu panu po podwórku i domu. Następnie pan wystąpił o odszkodowania i je dostał. I co dalej? No dalej uznano, że rzeka stanowi zagrożenie i znowu ją zmeliorowano, a tym razem ols wycięto. Itd., itd. Przecież to jest szaleństwo.

A jeszcze pojawiły się w wielu miejscach bobry. To wspaniałe zwierzęta. Spiętrzają wodę tam, gdzie ją najłatwiej spiętrzyć. Są ekonomiczne, bo muszą, żeby przeżyć. Tyle że w wielu takich miejscach ludzie osuszyli łąki, pobudowali się, pozakładali pola. I teraz trzeba odstrzelić bobry, bo niszczą mienie. Nie jestem w stanie spokojnie zastanawiać się nad tym, jakie procesy myślowe zachodzą w głowach ludzi, którzy jako odpowiedź mają: meliorować, wycinać, strzelać, budować zbiorniki rekreacyjno-retencyjne. Zdecydowanie taniej jest budować się z dala od łąk i torfowisk, łągów i olsów. To proste. A robota bobrów i naturalnych procesów są darmowe. Tyle że prawdopodobnie problem leży głębiej. Dotyczy on po pierwsze ludzkiej potrzeby kontroli, a po drugie ludzkich fobii, że gdy nie wykona się choćby najbardziej nieracjonalnej czynności, to napięcie nie spadnie. To jak zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Lęk, że naturalne procesy mogą się toczyć bez naszej kontroli i mogą nam zagrozić, wywołuje takie napięcie, że aby je znieść, ludzie wykonują działania nieracjonalne. A to wzmacnia w nich lęk. I jeszcze bardziej muszą coś robić. Cokolwiek. No więc bobry i łąki zalewowe są tańsze i skuteczniejsze.

Utrzymać w dobrym stanie

Mam dwa przykłady z ostatnich dni ze świętokrzyskiego obrazujące stosunek „leśników” i „wodniaków” do małych naturalnych cieków. Oba pochodzą z obszaru Natura 2000 Ostoja Żywnów. W pierwszym przypadku wycięto olchy porastające brzegi

Kacanki i wywleczono z niej martwe drewno zalegające w korycie. Wszystko w szerokiej dolinie, przepięknej, malowniczej, przebogatej przyrodniczo. To były prace utrzymaniowe właśnie. Ale chodzi o utrzymanie czego? Bo sądziłem, że na obszarze chronionym prawem polskim i europejskim chodzi o utrzymanie w stanie niepogorszonym siedlisk będących przedmiotami ochrony tego obszaru. Drugi przypadek to bezimienny ciek, kilka kilometrów dalej. Unikalne przyrodniczo miejsce. Pośród wspaniałych grądów nadrzeczny łąg z wymierającymi gatunkami roślin i zwierząt, ekstremalnie rzadko występującymi w świętokrzyskim. Ranga tego miejsca jest znana, bo jeden z naszych wspaniałych botaników, już nieżyjący dr Edward Bróz, starał się tam powołać rezerwat przyrody. Tymczasem Nadleśnictwo Staszów dokonało tam rzezi drzew. Miejsce wygląda obecnie jakby obrzucono je bombami.

Zgodnie z zaleceniami dla realizacji trwale zrównoważonej gospodarki leśnej należy unikać wycinek wzdłuż śródleśnych naturalnych cieków, należy dbać o zachowanie wysokiej bioróżnorodności szczególnie tam, gdzie wiadomo, że występują gatunki rzadkie i zagrożone, należy dążyć do zachowania jak największej ilości martwego, wielkogabarytowego drewna (które gromadzi ogromne ilości wody i nie dość, że jest unikalnym siedliskiem dla ginących gatunków, to jeszcze stanowi naturalny system przeciwpożarowy!) oraz należy zmierzać w kierunku odnawiania lasów wykorzystując odnowienie naturalne. Tymczasem mamy wyjątkowo cenne miejsce, o którym wiadomo od lat, gdzie wyróżnięto łąg wzdłuż cieku oraz grąd na obu brzegach i wykonano nasadzenia dosłownie „od linijki”.

To dzieje się na każdym niemal kroku. Można mnożyć przykłady. W pierwszym przypadku na prace utrzymaniowe wydała zgodę Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, w drugim prace odbyły się w sprzeczności z oficjalnymi dokumentami i rekomendacjami samych leśników oraz w oparciu o Plan Urządzenia Lasu, który wciąż jest dokumentem niepodlegającym konsultacjom społecznym i ocenie oddziaływania na środowisko. Dla jasności: nie jestem

tak całkiem wariatem i rozumiem, że gospodarka leśna to ważna gałąź przemysłu. Ale ona nie może się odbywać poza prawem, na specjalnych warunkach. Obecny stan wiąże się z ogromnym negatywnym oddziaływaniem gospodarki leśnej na przyrodę Polski. Rzeki, strumienie, oczka śródpólne, jeziora, torfowiska, olsy itp. siedliska higrofilne powinny zostać uznane w Polsce za priorytetowe. Powinno się przyjąć program ich inwentaryzacji w całym kraju. A najcenniejsze i najważniejsze powinny być nietykalne. Tu już nie chodzi o „ptaszki i motylki”, lecz o bezpieczeństwo publiczne.

Strzeł bobra

Bobry to nasi wielcy sprzymierzeńcy. Jestem codziennie nad rzekami i w lasach. Tylko tam, gdzie są bobry, jest jakaś woda. Wszędzie indziej wszystko jest wyschnięte na wiór i nawet trzydniowe opady nie poprawiły sytuacji. Gdzieś czytałem niedawno wypowiedź hydrologa. Powiedział, że aby obecnie uzupełnić deficyt wody w środowisku, potrzebujemy nieustannych, obfitych, przynajmniej 30-dniowych opadów. To pokazuje skalę problemu. Na początku maja byłem we wspaniałym miejscu w Górach Świętokrzyskich. Niewielka wioska, tradycyjna zabudowa, ekstensywne rolnictwo (z biedy, nie z wyboru), wokół największy świętokrzyski zwarty kompleks leśny: mroczne, wilgotne i chłodne bory jodłowe. I pod lasem malutki ciek, a na nim wielkie łąki trzęślicowe z 6 gatunkami storczyków, rosiczkami, pełnikami europejskimi, kosaćcami syberyjskimi, ptactwem wodno-błotnym i przychodzącymi czasem wilkami. Woda stagnująca przez cały rok. Tak było tam jeszcze 3 lata temu. Wczoraj wszystko wyschnięte w straszliwy sposób. Resztki tej różnorodności, którą znałem. Nie ma tam bobrów. Nie wiem, czemu. Za to jest sieć rowów melioracyjnych i w nich jest woda. Tylko w nich. Więc jeśli nie ma tam bobrów, to odpaliłbym program dopłat dla rolników na budowę zastawek, mikrotam. Żeby tę wodę zatrzymywali na swoich łąkach. To rozpaczliwy pomysł, ale i sytuacja jest rozpaczliwa.

Hydrofobia jest wynikiem głębokiego kryzysu, w jakim się znajdujemy. Trzeba tu podkreślić, że na ten kryzys, chyba już egzystencjalny, pracowały pokolenia Polaków, nie tylko obecny rząd.

Autorstwo: Łukasz Misiuna

Źródło: NowyObywatel.pl